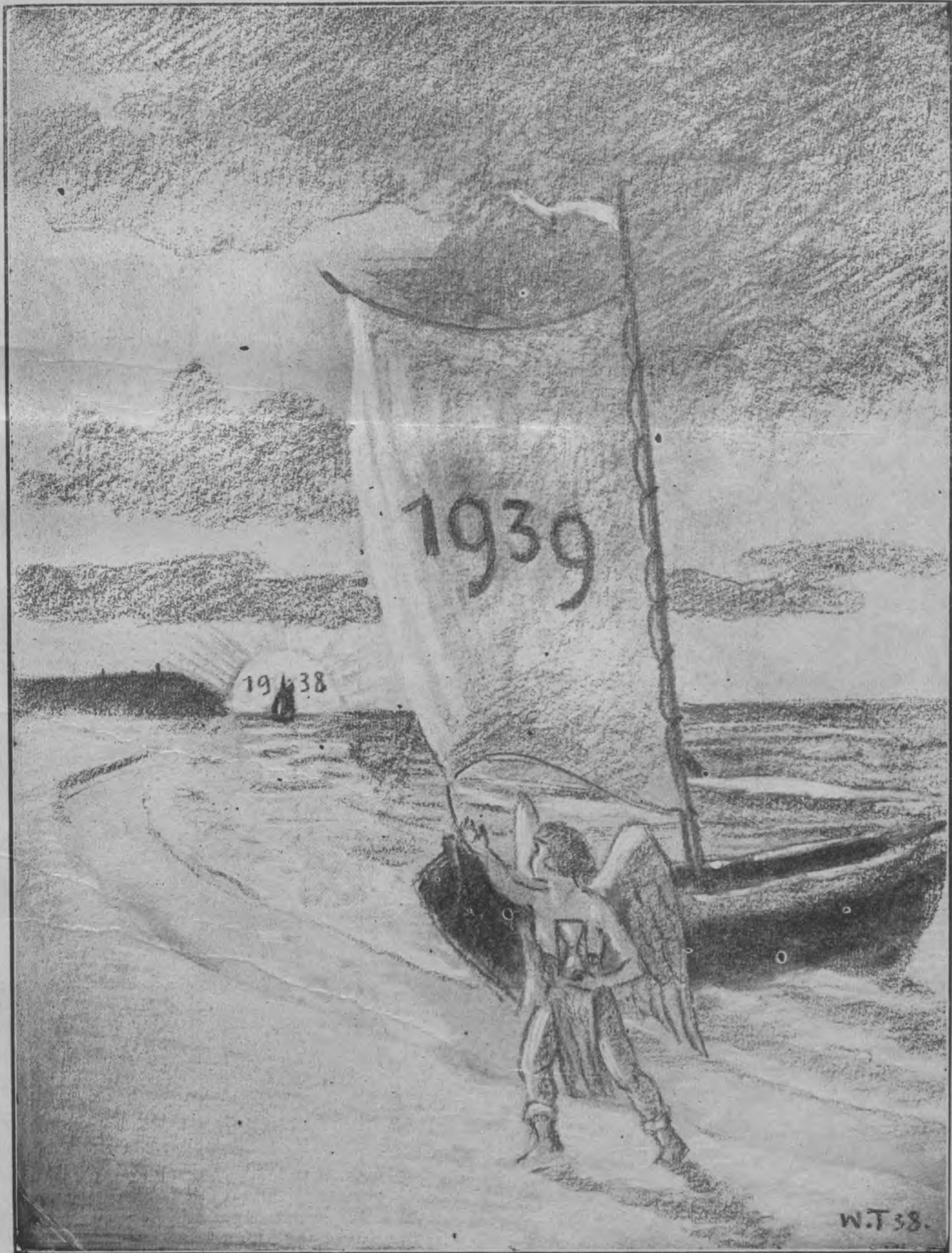


Wleza

Tygodnik Wielkiego Pomorza



+ ROMAN DMOWSKI

Wspomnienie pośmiertne

Wszyscy ludzie są śmiertelni.
Królowie są ludźmi.

Wniosek: królowie są śmiertelni.

I Pan Roman, Pan Prezes, wreszcie krótko — Dmowski — był śmiertelny, o czym wszyscy wiedzieliśmy.

I był w latach.

A jednak niespodziewana wieść o jego śmierci szarpnęła mną tak, jak kiedyś jedna tak żałobna wieść — a mianowicie o storpedowaniu statku z lordem Kitchenerem.

Słowa, które się cisną na usta, czy też raczej pod pióro przy pisaniu tego artykułu, są i niestety będą musiały brzmieć banalnie. Bo niby cóż dziwnego w tym, że jeden człowiek umiera a drugiemu robi się z tego powodu przykro? Gdy widzimy na scenie Hamleta, szamocącego się w grobie Ofelji z Laertesem, uśmiechamy się z niesmakiem, bo czujemy, że to komedia. Ale w gruncie rzeczy tak nie jest, w gruncie rzeczy odczuwa się — Ból? — więcej niż ból, odczuwa się uderzenie w pierś, w serce.

Dmowskiego będą definiowały, opłakiwały i malowały inne pióra, godniejsze od mego. Ja poprzestanę tu tylko na stwierdzeniu, na prostym oświadczeniu, że mi Pana Romana bardzo żal. Żal jako Wielkiego Człowieka, którego śmierć jest dla nas w tej chwili wielką stratą, żal mi go, jako człowieka, którego serdecznie kochałem, i żal mi go jako tej bojowości, tej siły charakteru, w której całkowicie mieściła się i moja bojowość, to znaczy i moja żywotność. Mógłbym powiedzieć, że postarzałem się na wiadomość o tej śmierci.

Dlatego zamiast wypisywać elegję, raczej niech się skupię na chwili, niech przymknę oczy i niech pomyślę o tych niewielu momentach, w których danym mi było obcować z Nim.

Poznałem Romana Dmowskiego w Warszawie, w roku — o ile się nie mylę — 1909. Pracowałem wówczas w „Kurierze Warszawskim”, gdzie jednak nie mogłem dojść do porozumienia z swym otoczeniem. Ponieważ leżała mi na sercu bardzo kwestia polsko-czeska — a dziś widać, że istotnie miało mi co na sercu leżeć, poszedłem do redakcji „Gazety Warszawskiej”, aby się o ile możliwe porozumieć z Romanem Dmowskim. Skierowano mnie do jego prywatnego

mieszkania gdzieś przy Brackiej, czy Zgodzie. Przyjął mnie w tej chwili, ale wyszedł do mnie w płaszczu kąpielowym wprost z łazienki. Wyznaję, że przywykłem do salonowego ceremoniału, ta męska i prosta bezcerebralność zaimponowała mi. Była to naturalność i prostota, która miała w sobie coś z patrycjuszowskiej kultury rzymskiej. Miało się porozumieć dwóch mężczyzn. Czyż więc z tego powodu, że jeden miał na nogach lakierki, drugi także musiał na gwałt w nie wskakiwać? Podanie ręki przez Dmowskiego, jego uścisk dłoni był tak szczery, iż czuło się, że w rozmowie z Nim nie potrzeba będzie kłamać. Ponieważ sprawa czeska była zawsze u nas bardzo drażliwa, byłem przygotowany na konieczność dłuższego „wiercenia dziury w brzuchu”. Gdzież znowu? Z Dmowskim to nie trwało ani dwóch minut, zrozumiał natychmiast. A teraz — wykonanie? Wziął słuchawkę telefonu do ręki, połączył się z redakcją i polecił: — Proszę mi tu przysłać pana sekretarza Sadzewicza. — Czekając chwilę na sekretarza opowiedział mi Dmowski, że jest zmęczony, i że jedzie na odpoczynek do Algieru. — U nas ludzie nie rozumieją — dodał — że człowiek gdy się przemęczy, gorzej pracuje. A zatem wypoczynek jest koniecznością, a nie przyjemnością. — No, tak! — pomyślałem ja. — Lecz ty sobie potrafisz zorganizować wyjazd do Algieru, a ja nie mogę sobie zorganizować nowej pary portek, co nawet było aktualne ze względu na przyjazd Czechów do Warszawy, albowiem właśnie Komitet Powitalny powierzył mi kierownictwo ad hoc stworzonej agencji prasowej. W następstwie tego musiałem też wziąć udział w paru posiedzeniach Komitetu, gdzie znowu miałem możliwość przyglądania się Dmowskiemu. Spokój, rzeczowość, jak najtreściwsze i najprostsze ustalenie sprawy, logika i wyływający z niej humor, przytem tajemnicą pewnego gestu — to były charakterystyczne cechy Dmowskiego. Ponieważ Dmowski miał bardzo silnie rozwinięty zmysł rzeczywistości, łatwo spostrzegał i wskazywał odchylenia od niej i to stanowiło istotę jego humoru.

Później spotykałem Dmowskiego przygodnie, ale choć zamienialiśmy

zaledwie parę słów, czułem jego obecność i wiedziałem, że to jest mój Wódz. Najbardziej dramatyczne było moje widzenie się z nim w Radzie Narodowej w Paryżu w roku 1919. Do Pana Prezesa już trudno się było dostać, bo już go zaczynały omotywać macki różnych potworków, które się zawsze wielkich ludzi czepiają. Przyjechawszy z Syberji, jako kurier wojskowo-dyplomatyczny, miałem poza raportami informacje, które można było oddać tylko ustnie. Jedyne dawnej znajomości z ówczesnym sekretarzem Dmowskiego, Stanisławem Kozickim zawdzięczam, że je oddać mogłem, bo zresztą do Pana Prezesa mnie nie dopuszczano. Prawdopodobnie Pan Prezes postanowił dać mi do zrozumienia, że wysiłki me ocenił i przyjął do wiadomości, bo naraz, podczas pewnej konferencji, którą miałem w Radzie Narodowej z jednym uroczym blondynem w salonie utrzymanym w ślicznym stylu rococo zjawił się Roman Dmowski faktycznie po to tylko, żeby się ze mną przywitać. Nie zapomnę nigdy zwisłych fałdów na twarzy, zagastych jakby oczu i bezwiednego chwywania się za tył głowy z jakimś bolesnym grymasem — Jestem bardzo zmęczony — rzekł. — Ale pan dobrze wygląda.

Tak, to właśnie było w epoce walki o Gdańsk, w okresie najbezwzględniejszych ataków b. już prezydenta Republiki Czechosłowackiej na Dmowskiego, przy pomocy Lloyd'a George'a i masonerii całego świata. Myśmy wprawdzie Gdańska jeszcze nie odebrali, ale Czechosłowacja Edwarda Benesa już się rozleciała.

Dmowski to przewidywał już w Paryżu, gdzie Beneszowi zdawało się, że wygrywa. Wiemy, że Roman Dmowski duchowo złamać się nie dał, przeciwnie, zakwitł znów jako świetny pisarz polityczny, znów — duchowy Wódz Narodu.

Jerzy Bandrowski.

„O polityce się mówi, że ludzi znieprawia. Tak, bardzo często. Ten, kto wchodzi do niej z ubogimi zasobami moralnymi, kto zagadnień moralnych nie umie rozważać lub jest zbyt leniwy, by się nad nimi zastanawiać, traci nawet to niewiele, z którym przyszedł. Bo zagadnienia moralne, które życie polityczne przed ludźmi stawia, są tak często zawile, tak wysokiego rzędu, że dla sprostania im, trzeba mocnej podławy, niebyłejakiego sumienia i niebyłejakiego wysiłku myśli”.

ROMAN DMOWSKI

Defilada Kaprów

Więc właśnie było w ten sposób: Król Władysław IV zajmował się bardzo kwestią Bałtyku. Jednakże szlachta polska, która właściwie z Bałtyku żyła, bo żyła ze zboża wysyłanego Wisłą przez Gdańsk, nie chciała pozwolić, aby Król Polski załatwił swe sprawy tak, jak należało się jemu i dynastii.

Polska była w rzeczywistości państwem skandynawskim. Było to w tradycji, a jest rzeczą mało znaną, że Duninowie, którzy w herbie swym mają łabędź sę w gruncie rzeczy zbiegłą z Danii szlachtą, a wiadomo, iż uciekli do Polski przed duńskim królem Astolfem, któremu zabrali skarb państwa.

Mało też jest znaną rzeczą, że niejaki Bolesław Krzywousty właśnie z powodu tego skarbu wezwany był do Danii, aby uregulować sprawy duńskiego państwa. To zaś duńskie państwo obejmowało wówczas Danię, Szwecję, Norwegię i Finlandię. O tej wyprawie, wskazującej na to, że Polacy byli i są narodem morskim, świadczy Długosz, w którym tę całą historię wyczytać można.

Inna jest rzecz podziwu godna, że w Polsce mało znają książkę, napisaną przez jakiegoś Poznańczyka, a zatytułowaną: „Boryslaus”. Jest to historia albo Bolesława Chrobrego, albo Krzywoustego, czego w tej chwili napewno nie wiem, lecz który był proszony przez swoją siostrę, a ta

była królową Norwegii — co rozumie się jako państwa należne do Północy — Nor- wey.

Pozatem z kronik angielskich znane jest piractwo polskie, które miało swój własny charakter. Mianowicie: „Wikingowie” poścy mieli zwyczaj przewozić na swych łodziach konie, a ich najazdy na Anglię i na brzegi Normandii były właśnie straszne przez to, że wpuszczali w głąb kraju kawalerię, aby zrobić dywersję, która by im ułatwiła jak najdokładniejsze spustoszenie wybrzeża. Albowiem Polacy wtenczas nie mieli odpowiednich i potrzebnych sprzętów z metalu, więc zaopatrywali się w nie tą drogą.

Król Władysław IV doskonale rozumiał, że prowadząc swą politykę jednakże musi mieć uporządkowane stosunki na Bałtyku. Miał owszem flotę. I był to jedyny król polski, który o flotę naprawdę dbał. Tymczasem Duńczycy tę flotę mu wymordowali.

To nie byli Duńczycy, ale to była „Hansa”. I zdarzyło się, że odbyła się przed Władysławem IV defilada Kaprów. Cóż to byli Kaprowie?

Wtenczas nie strzelało się na wielkie dystanse z dział, lecz walka morska była właściwie walką piechoty. Mianowicie statek przeciwnika się kapowało (caper). Gdy się przerzuciło pomost, który „kapował” wtedy się abordażowało — to znaczy, że półnady ludzie z kijami, siekierami wpadali na cudzy

pokład, wyłukiwali kogo mogli, i na tym tylko poległa bitwa morska, która była właściwie zupełnie lądową.

Władysław IV miał bałtycką flotę. Było owszem 17 statków, co wynosiło dużo pieniędzy. Kiedy to było i w jakiej chwili nie pamiętam, lecz łatwo byłoby sprawdzić.

Defiladę kaperskich marynarzy polskich przed królem Władysławem IV wymalował Mistrz Kazimierz Sichulski.

Załogę tych kaperskich statków doszczętnie wycięli Duńczycy.

Król Władysław IV, rozumiejąc, że musi Bałtyk opanować, zwrócił się do Sejmu polskiego o pieniądze, potrzebne na stworzenie nowej floty polskiej.

Sejm mu odmówił — to znaczy — Jaśnie państwo.

A wtedy pewien szlachcic polski przyszedł do Króla Władysława IV z swą krzywdą — i Król mu powiedział: „A nie nosisz szabli u boku”?

Ten skrzywdzony szlachcic nazywał się: Bohdan Chmielnicki.

Jedyny polski król ma nazwę Wielki. Był to Kazimierz Wielki — zresztą wychowany we Francji.

— Czemuż był Wielki?

Polak Polaka nie uzna nigdy. Byli w Polsce wielcy Królowie, ale jedynie „Wielkim” był tylko ten, który wszystkie porty zbożowe oddał żydom — dlatego zdaje się wyróżniono nam naszą flotę na Bałtyku.

KOMUNALNA KASA OSZCZĘDNOŚCI

MIASTA GDYNI

BANK DEWIZOWY

UL. ŚWIĘTOJAŃSKA 17.

CENTR. TELEF. 29-51.

ODDZIAŁY: Orłowo, ul. Orłowska 64. Tel. 91-51.

Chylonia, ul. Chyłońska 67. Tel. 57-07.

Czynne od godz. 9-13 i od 15-17.

ZBIORNICE: Hala Targowa, tel. 33-51 i Kantor Wymiany Walut Obcych
ul. Portowa 4, tel. 12-74.

Dr Florian Cenôwa na miarę słowiańską

Jedną z najważniejszych a zarazem najciekawszych i najdziwniejszych postaci jakie wydało Pomorze, jest niewątpliwie dr. Florian Cenôwa.

Ileż aspektów ma ten człowiek i który jest najprawdziwszy?

Jedni chcą w nim widzieć uosobienie poświęcenia dla swojego ludu — inni z lubością podkreślają jego miłość, z powodu chwilowych, ludzkich słabości; jedni widzą w nim wcielenie przywiązania Kaszub do Polski dla jego szaleńczej wyprawy na Starogard — inni widzą w nim separatystę; jedni uważają go za uczonego, doskonałego jak na swoje czasy etnografa, założyciela pierwszego w całej Słowiańszczyźnie czasopisma ludoznawczego, zbieracza bajek i pieśni — inni podkreślać będą, że co to za uczonego, którego jeden ze zbiorów pieśni „zawierał rzeczy pornograficzne, nic wspólnego nie mające z folklorem”; jedni uważają go za panslawistę — inni za wielkiego słowianofila; jedni znowu kategorycznie twierdzą, że „zohydzał kościół” albo że „psychiką swoją jest on z powodów ateistycznych (!?) mocno związany z warstwą małorolnych” — inni chcą ostrza tych zarzutów osłabić przez obrazowanie jegoczesnych stosunków polityczno-kościelnych, jegoczesnych prądów społeczno-filozoficznych, przez obiektywny rzut oka również i na zalety demokracji, której Cenôwa był swoistym teoretykiem na naszym gruncie i która, wyzwoliwszy drzemającą energię olbrzymich mas ludowych, w dalszej konsekwencji przyniosła — Odrodzenie Polski.

Oto najważniejsze pro i contra dookoła tej postaci. Przyznaje się, co prawda, że Cenôwa stoi na pewnym piedestale, który go wynosi ponad tyle milionów innych, nawet wspomina się ubocznie, że jest budzicielem regionalizmu polskiego, jednakże podkreśla się równocześnie nieważkie, małoczwolnicze strony jego życia, niwelujące tę jego wielkość, tę ponadprzeciętność.

Tyłu rzeczy ważnych odnoszących się do jego życia nie znamy, tyle szczegółów domaga się rewizji — a nowych szczegółów brak...

„Gryfici”, spadkobiercy idei Cenôwy, wnet otrzymają swą monografię, czy

jednak ojciec tego „gryfowego ruchu” w bliskiej przyszłości ją dostanie — nie wiadomo.

Myśl Cenôwy o połączeniu wszystkich Słowian.

Młody, 22 letni Stefan Ramułt, wówczas student filologii słowiańskiej na Uniwersytecie Lwowskim i od szeregu lat już interesujący się kaszubszczyzną,



Dr Florian Cenôwa

zwrócił się do Cenôwy z prośbą o podanie mu między innymi „krótkiego poglądu na... czynność (Cenôwy) i na jej skutki”. Z nawiązanej w ten sposób korespondencji z Ramułtem zachowały się dwa listy Cenôwy, które — dzięki nadzwyczaj przychylnemu ustosunkowaniu się do spraw kaszubskich i do „KLEKI” p. Mirosława Ramułta, docenta U. J. — mam zaszczyt i przyjemność nieco niżej ogłosić.

Listy datowane są z Bukowca koło Terespoła, z listopada 1880, a więc zaledwie cztery miesiące przed śmiercią (26 marca 1881) Cenôwy.

Na początek pierwszego kaszubskiego listu do Ramułta chcę zwrócić szczególniejszą uwagę Czytelników, interesujących się Cenôwą. (Pisownia zmieniona. Ob. niżej!)

„Szanowny Słowianinie! Moim głównym zamiarę je połączenie wszystkich Słowianów pod względem naukowym, do czego należy w pier-

szym rządzie abécadło czelë azbuka na podstawie grecki (Cyrilla) ë łacin-ski (czechów) tak, żebë jedna spółgłoska drëgi odpowioda a to we wszëtkich narzeczach słowiańskich”.

Ze sposobu tytułowania poznajemy słowianofila, następne zdanie pozwala nam odczytać bodaj najpiękniejszą kartę jego życia.

Znaliśmy zamiłowanie gramatyczne Cenôwy (chciał wprowadzić nowe terminy: dorożnik - akcent, przedłóg - przyimek - praepositio, nazwa rzeczownik - substantivum...), znaliśmy luźne wypowiedzi np. „że (Wojkasin) okazëje niejaka miłosc do jinszech narzeczy słowiańskich, jakoto: czeskiego ë serbskiego, ë nie trzimô sę strikce pisowni polskié”, albo że zmienił pisownię, bo dana rzecz nie istnieje „w żadnym narzeczcu słowiańskim” itd., ale jasnej wypowiedzi co do swoich zamiarów nie przedstawił zdaje się nigdzie. Jego wcześniejsze rozprawki gramatyczne miały mu zdaje się po części grunt przygotować i urobić opinię w świecie słowiańskim dla tej — nie nowej — idei.

Oszałamiająca myśl o federacji ludów słowiańskich czy też o połączeniu wszystkich Słowian na razie „pod względem naukowym” drogą ujednostajnienia pisowni słowiańskiej miała i mieć będzie swoich szermierzy. Przecież Cenôwa nie darmo był uczniem Franciszka Ładysława Czelakowskiego, kapitalnego zbieracza pieśni i baśni słowiańskich, nie darmo był „częstym gościem Profesora Purkyniego, prezesa Towarzystwa Literaturë Słowiańskie” we Wrocławiu. O czymże mówiono u tego ostatniego? Wiemy, że Jan Ewangelista Purkynie wydał książeczkę „O korzyściach z ogólnego rozprzestrzenienia łacińskiego sposobu pisania w dziedzinie języków słowiańskich” (z czeskiego przeł. Nieścista Bandonin, Warszawa 1865, str. 36) gdzie głęboko i szeroko o tym przekonywuje. I oto stary nad grobem stojący Cenôwa, który tyle przykrości miał właśnie z powodu pisowni, decyduje się wyznaczyć, że wielką myśl swego profesora w sercu pielęgnował, pewne rzeczy poprawił i dalej chce ją rozszerzać w świecie słowiańskim.

(D. c. n.)

IWER

Armański Juliuse!

Pamiętasz?

Ciecz nędzna, uboga, wichrami smagana,
stała na granicy Jąstarni i Boru,
gdzie wielki krzyż i stary zapomniany już cmentarz.
Na prawo od chaty i wzgórza „ok”,
nie pamiętam już czyjego imienia,
ale pamiętam w nim przechylony na bok
czarny bot
z maszłem, smętnie przekrzywionym na prawo,
bot jak gdyby ranny czy postrzelony.

Byłem wtedy jak on, ten ranny, czarny bot,
I zaprawdę —

zaprawdę, od lat już tyłu
jestem jak bot bez kilku...

Dalej, wciąż z prawej strony,
widać nadbrzeżne pażece, błękitno srebrzyste firbeki,
zatokę, pieniającą się biało z wściekłości, gdy wichher ją siekła,
zaś po za nią, po drugiej stronie zatoki, daleki
szaro-niebiański brzeg,
na którym czasem pociąg biało dymił.
Na lewo bure chmurska i dymy Gdyni.

O, jaki - m - że ja był wtedy nieszczęśliwy i chory!
Ssały ze mnie krew upiory
i móry.

Pamiętasz Juliuse, jak sam raz korki mi przestawiłeś,
by po nich móra do mnie nie przychodziła,
żeby mnie w łóżku nie dusiła,
krwi mej takoma.

A to łóżko! Gorsze było niż na kraju wyrek!
Z siennika sypała się stara słoma,
Kołdry ani koca nie było.
Przykrywałem się chudą pierzyną,
pod którą drżałem.

Daliście mi, coście sami mieli!
Ani żelaznego piecyka nie miałem
(bośmy go wmurowywać nie chcieli).

A choć jedzenie, Juliuse, pchałeś we mnie siłą,
nie mogłem jeść nic ani od mięsa, ani od worszta, ani
nawet od syra.

O, Juliuse, mój przyjacelu, to był wielki iwer i bardzo
ciężki trosk.

Na lewo od chaty stały gromadą wędzarnie,
bo tam jest „ok”, wygodny
dla botów, gdy powracają ciężarnie.
Bretlingów było wtedy dość i wszystkie wędzarnie dymiły.
Ach, ten słodkawy, olchowy dym taki miły,
a tak drażniący, gdy człowiek jest głodny.

Gdy mnie iwer gryzł w serce tak, że wyc się chciało,
wstawałem z swego bartogu pomału,
ubierałem się i wychodziłem w noc ciemną.

Szedłem na ślepo sam — nie, nie sam, bo iwer był
ze mną!

Szedłem na lewo wskos, potykając się wciąż, korków
nie zwyczajny.

Że nóg wtedy nie potamałem, jeszcze dziś się dziwię.
Kierowałem się bliżą, mrugając pocziwie z Oksywią
i szedłem wprost na ogniste dymy,
Buchające z waszych kominów.

I pamiętasz, Juliuse?

Przychodziłem blady i smutny, jak udre-
czony duch,

drżący z zimna. Pocieszaliście mnie we dwóch,
Ty i Twój brat. Oczyszczaliście dla mnie kistę
i sadzaliście mnie przy piecach wędzarskich, przy
złotoczerwonym żarze.

Pamiętam, bracia, Wasze współczujące twarze,
i dziewcząt, wytykających szprotki, zdziwione twarzyczki,
jak przestraszone różyczki. —

Kładliście mi pod ręką świeże szprotki srebrno złote,
soczyste,

Patrząc w zadumie w żar, obierałem je powoli
i jadłem, maczając w soli.

Żar, buchający z pieców, zwolna mnie rozgrzewał,
a Ty nakazywałaś wtedy dzeusom śpiewać.

Więc wytyczając szprotki palcami zmarzniętymi,
śpiewały stare pieśni o okrętниках, o morzu,
o miłości serdecznej, o lubej co tęskni.

Leforci śpiewały chwytające za serce i wesóło brzmiące
a skoczne tuńce.

I starały się śpiewać, jak mogły, najpiękniej,
sądząc, że mi to pomoże...

A ja patrzyłem, jak piec wędzarski dymi,
jak w górę złote wlatują iskierki,
i spozierałem czasem na dzeusów twarzyczki-różyczki,
na różnobarwne sweterki
i na palce, od dotykania ryb lodowatych czerwone.

Na wszystkie tony
ryczał, wył nocny arkun.
Nigdy bym nie był uwierzył,
że w Eolowej harfie brzmi tyle dźwięczących strun
i że wiatr może swym tchnieniem jak pięścią uderzyć.
On tylko grał,
a cały budynek drżał, w posadach się chwiało,
żałośnie dźwięczna skarga kwiliła z okien,
zaś dziewczęta spozierały po sobie wystraszone okiem.

Wtedy czułem, że właśnie wyjść muszę,
wyjść jak najprędzej,
bo się inaczej uduszę, uwędze
w dymie wędzarni.

Ludzie marni,
nie rozumiemy, nie wiemy,
że gdy dzieje się coś, czego człowiek się lęka,
że gdy ogarnia go trwoga,
Anioła dotyka go ręka,
który mu wieść zwiastuje od Boga.

Więc wybiegałem w wyjąca noc czarną, w wichher w
sztorm - pest - arkun.

Wyłamując w korkach nogi niewprawne, szedłem na
brzeg Mulmjerza,
albo też biegłem przez ciemny las nad rozgniewany
Bałtyk.

W lesie straszliwy trzask, wycie, ryki i gwałty —
Dopałem strądu bez tchu —

Na strądzie mlaskanie fal, ryk, rewy grają, za rewami
wód wielkich szum.

Statku jakiegoś z sztimrsztrychu ostrożne wołanie: —
Hu-hu! Hu-hu!

I śmiech za mną. Cichutki, drwiący śmiech.
Iwer!

Iwer jest i tu.

Iwer chodzi za mną wszędzie.

Dusza się go nie pozbędzie.

Nie przepędzi go pieśń hoża,

nie zagłuszy go szum morza.

Iwer chodzi ze mną wszędzie.

Iwer przy mnie zawsze będzie.

Uwagi: W kaszubskiej gwarze rybackiej „iwer” oznacza „wielkie
zmarwienie”, „cierpienie psychiczne”.

Juljusz Armański inaczej Ślepy, mój przyjaciel, rybak,
właściwie Herman, nazwany „Armańskim” dla odróżnie-
nia mnóstwa innych Hermanów z Jąstarni i Boru.

„Pażece” lub „pażyce” — łaki nadbrzeżne.

„Firbeki” z plattu „vorbecken”, „Fühänge” (firanki) za-
miast „Vorhaenge” — kaluże nadbrzeżne.

„Niebiańsku” — tak mówią czasem Kaszubi zam. „nie-
bieski”, tak mówił mój Dawid Długi; („Ten budynek z nie-
biańskimi oknami to mój dom”).

„Ani od mięsa itd.” — niem. zwrot, pewn. używany
„vom Fleisch” itd.

„Dzeus” — skrót od „dziewuszka”, „dziewuś”.

„Leforka” — pieśń, „tuńc” — pieśń wesóło (Tanz).

Arkun — orkan. Sztorm — jest — arkun — wzmocnienie

„POMOC ZIMOWA” i pomoc nie tylko zimowa

Przed świętami w Gdyni ruch pomimo, iż mróz jest tęgi i wiatr ostry. Drzwi ciągle się otwierają radośnie do składów, gdzie publiczność się tłoczy po zakup podarków dla swych drogich i milusińskich.

A na ulicy Abrahama ciche jęki i skargi wydobywają się od drzwi, które swym żalnym kwileniem dają poznać co za rozpacz przeżywają. Przecież to rzecz okropna, że ciągle są otwierane i zamykane przez Polaków, którzy spieszą do żydowskich sklepów, by oszukując siebie samych zakupić żydowską tandetę. Przed żydowskimi składami stoją zmarznięte postacie, które odradzają wchodzącym kupować — bo tu żyd, ale ich słowa rzucające jak groch o ścianę żadnego wrażenia nie wywołują, jedynie ich mieczyki żarzą się srebrnym blaskiem w klapach płaszczy i ubrań.

Ulicami przesuwają się tłumy ludzi, i choć każdy nosem pociągga, ręką za ucho trzyma, jednak gdy go zaczepią panie lub panowie z Komitetu Pomocy Zimowej chętnie zatrzymuje się i ofiarowuje parę groszy dla biednych dzieci na gwiazdkę. A największa radość budzi się w sercach ludzkich, gdy spojrzysz się jak w tłumie migają kolorowe czapeczki, uśmiechnięte, rozradowane a tak zmarznięte twarze studentów, którzy choć przyjechali na wypoczynek, jednak z całą ofiarnością i poświęceniem zbierają datki na biedną działość. Na ul. 10-go lutego przed Bankiem Gospodarstwa Krajowego zebrała się grupka 4 studentów z puszkami w

rękę, którzy niezmordowanie przypinają kartki i zbierają datki.

Ścisną wokół nich robi na chodniku tak, iż przejść jest trudno. A przecież można by przejść obok i nic nie dać, ale Gdynia pokazuje swe wychowanie obywatelskie. I każdy spokojnie czeka na swą kolejkę kiedy będzie mógł i on wrzucić do puszek obleganego studenta, swych parę ciężko zapracowanych groszy.

Niektórzy ludzie to aż łzy mają w oczach, gdy patrzą na ofiarną postać społeczeństwa. Stoi tu para starszków, którzy po spełnieniu swego obowiązku obywatelskiego, mile patrzą na ofiarną pracę młodzieży. On uśmiecha się i mówi do swej żony: „Widzisz, mamusiu, oto przyszłość nasza!” A obok stojący młodzieniec, o twarzy zmęczonej, kuso ubrany odwróciwszy się z uśmiechem i goryczą w głosie wskazując na studentów, mówi: „Dziś to oni zbierają na biednych, a jak ukończą studia to inni znów będą na nich zbierać. Bo dziś się uczysz, młodzieńcze, a jutro o kawałek chleba prosisz, bo praca — to marzenie. Twoja praca jest w ręku żydowskim, na Twoim miejscu siedzą opasli żydzi i śmieją się z młodzieży, która choć ma wykształcenie i siłę do pracy ale jednak swego miejsca musi ustąpić ŻYDOM. Oni dziś PIERWSI!” — Odwraca się, spluwa z pogardą na ziemię, i odchodzi krokiem zmęczonego człowieka choć sam jest młody, bo rok temu tak samo zbierał dla innych a dziś nie ma co jeść... **Ksyjuno.**

się już zaspokajaniem tylko potrzeb chwilowych, doraźnym budowaniem fragmentów, w ogóle — przeciętnością tworzenia. Z systematycznym rozwojem gospodarczo-materialnym postępować musi w parze stały rozwój kulturalno-duchowy. Głównym jego czynnikiem, w całości służącym Narodowi Polskiemu musi być radio. Doniosłe zadanie, jakie radio spełnia dla państwa obliczone być musi na wielką skalę, przyczem konieczność realizacji wszystkich postulatów, zakreślonych na daleką metę, traktowana być musi pozytywnie. Żądania Kaszub, sformułowane jasno przez W. Francka w akademickim „Biuletynie Pomorskim” brzmią:

1. Wybudować natychmiast nową rozgłośnię, nowoczesną i silną, która zapewni dobry odbiór nawet bezlampowy — kryształkowy na głośnik.

2. Stacja musi być wybudowana w północnej części Pomorza, w miejscu o położeniu centralnym, tak, żeby objęta zasięgiem swoim nie tylko Hel, Puck, Gdąnsk, Chojnice, Starogard, Grudziądz, ale również pogranicze niemieckie na zachodnim Pomorzu i po prawej stronie Wisły. Jako miejsce ku temu odpowiednie uważamy wzgórze między Kościerzyną a Kartuzami.

3. Rozgłośnia ta musi mieć własny program i własne Studio w Gdyni, a służyć interesom naszego jedyne go portu w Gdyni, interesom Kaszub.

4. Tematy na pogadanki i odczyty o charakterze propagandowym, jak również część prelegentów w tym celu powinien dostarczyć Instytut Bałtycki w Gdyni.

5. Rozgłośnia powinna mieć zapewnioną falę, gwarantującą nieskazitelny odbiór nawet w największej odległości. W tym celu Polskie Radio powinno już teraz poczynić odpowiednie starania na terenie międzynarodowym.

Niech więc nareszcie zabrzmie w eterze triumfalnie: „Tu Polskie Radio Gdynia i jego silne zaplecze”, a mowa polska niech stąd rozbrzmiewa na dowód światu, że tu Polska Mocarsztwa silnie stanęła tak, że wyprzedzić się nikomu nie da.

SPRAWY KASZUBSKIE

Pierwszy na „Rybakach” Kaszuba z tytułem doktora

Wśród rybaków kaszubskich i rolników nad brzegami morza otwartego, na skutek zbyt wielkich odległości od ośrodków kulturalnych, kadry inteligencji kaszubskiej rosły bardzo wolno. Pierwszym Kaszubą zamieszkałym na „Rybakach”, który uzyskał stopień doktora, jest lekarz Józef Torliński z Wielkiej Wsi - Władysławowa, który ostatnio na uniwersytecie poznańskim został promowany na doktora medycyny. Dr. Józef Torliński osiedlił się w Wielkiej Wsi - Władysławowie, w

swym miejscu rodzinnym. Na nowej placówce składamy mu nasze życzenia „Szczęść Boże”.

P. dr. J. Torliński jest synem znanego działacza kaszubskiego p. Leona Torlińskiego z Wielkiej Wsi - Władysławowa, członka Wydziału i Rady Powiatowej. Brat p. dr. J. Torlińskiego natomiast jest pierwszym z „Rybaków” oficerem armii polskiej i stacjonuje pod Wilnem.

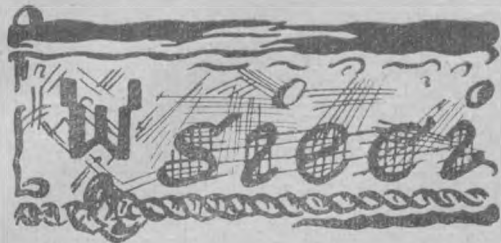
Potrzeba potężnej radiofonizacji Pomorza

W niepowstrzymanym dążeniu do Wielkiej Polski Pomorze nie zadowolili

Pamiętaj o wpłaceniu



prenumeraty
za „KLEKĘ”!



ZAMOŻNOŚĆ NIEMIECKA

W Polsce

Mimo znacznego spadku liczby Niemców na terenie woj. zachodnich majątek niemiecki na tych ziemiach nie tylko nie maleje, ale nawet stale wzrasta. I tak w roku 1919 było w woj. poznańskim 34,4%, Niemców, w r. 1921 liczba ta spadła do 16,9%, a obecnie nie mamy ich nawet 9%. Podobnie na Pomorzu w tych samych okresach było: 42,5%, po tym 19%, a obecnie niespełna 10%.

Tymczasem stan posiadania Niemców w tym czasie wzrósł. Oto niemieckie związki rewizyjne wykazywały w r. 1929 — 665 spółdzielni, w r. 1932 już 795. A więc w ciągu 6 lat przyrost 130 placówek spółdzielczych. W przemyśle browarniczym 70% kapitału należy do Niemców, w przemyśle młynarskim około 50% itd. Podobnie stały wzrost stanu posiadania wykazuje handel i rzemiosło.

W Niemczech

Według komunikatu władz, Niemcy dysponują z końcem tego roku 4 i pół milionami tonn zmagazynowanego zboża, a wypiek chleba zabezpieczony jest na dwa lata. Daje się natomiast odczuwać wielki brak masła, dotkliwszy niż w latach poprzednich. Rozeszła się pogłoska, że w roku 1939 wprowadzony zostanie tydzień bez masła w każdym miesiącu. Przed świętami Bożego Narodzenia brak masła dał się jeszcze dotkliwiej odczuć niż w latach poprzednich.

Sic!

W przygotowaniu do druku

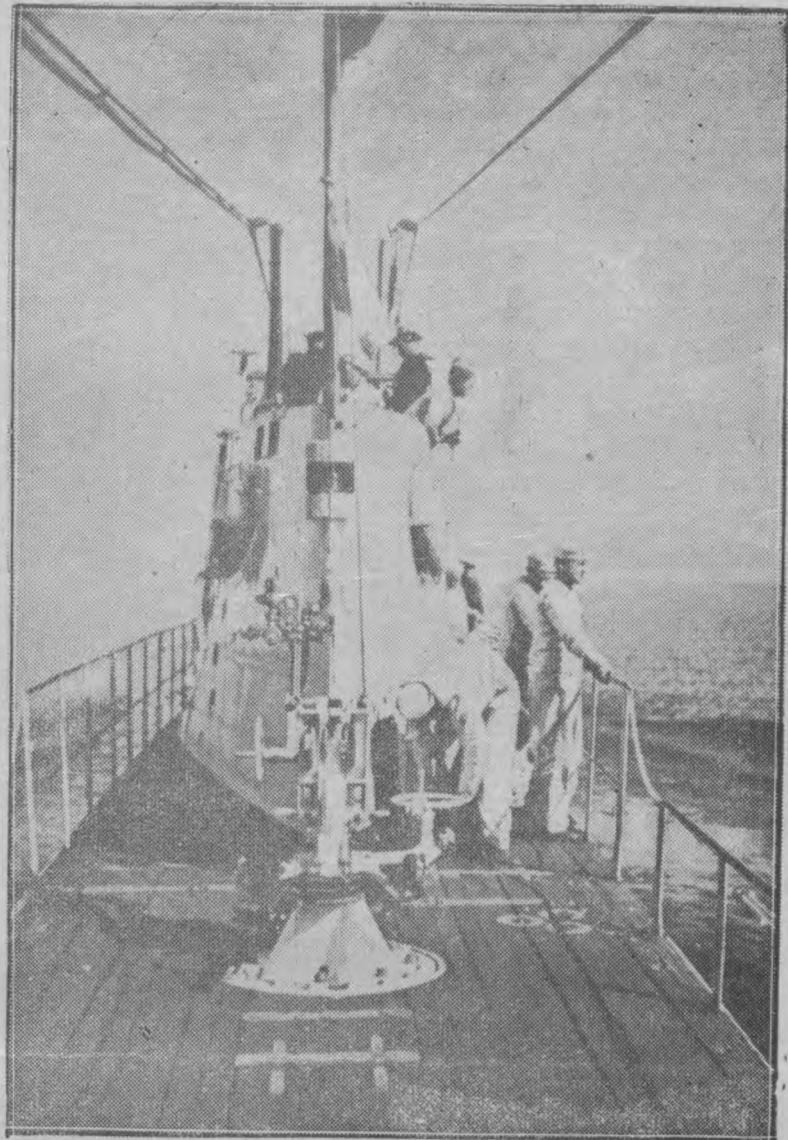
PIĘTÓW TONA „Na Jantorowym Brzegu”

Zbiór powiadań kaszubskich

Stron 64. Cena 1 50
Biblioteka „KLEKI” Nr 1.

Uwaga: Czytelnicy „KLEKI” otrzymać będą mogli powyższy tomik za 1,— zł w przedpłacie do 15-go stycznia 1939 r.

Należność przekazywać można blank, rozrach.



NIEMCY POTĘŻNIE ZBROJĄ SIĘ NA MORZU

Według układu flotowego angielsko - niemieckiego Niemcy mają prawo powiększyć tonaż floty podwodnej do 60.000 tonn, do czego należy jeszcze dodać 13 łodzi podwodnych,

budowanych obecnie w Anglii, które powiększą tonaż angielski i tym samym w myśl układu pozwolą Niemcom na analogiczne zbrojenia podwodne.

A MY

Każdy z nas powinien pamiętać o ustalonej już dawno prawdzie, że zagadnienie nowoczesnej wojny to nie tylko organizacja armii i na wysokim poziomie stojące wyszkolenie żołnierza i dowódców. Przyszła wojna zmusi cały naród do zajęcia właściwej podstawy bojowej, nie tylko obronnej, ale i zaczepnej. Na żyjące dziś pokolenie spada trudny i ciężki obowiązek przygotowania się do zbrojnej rozprawy, aby, gdy zajdzie tego potrzeba, w sposób godny naszej wielkiej tradycji, stanąć w obronie całości granic państwa.

Życzliwy stosunek do naszej armii wyrażony tak żywiotowo przy wielu okazjach jest piękny i godny pełniejszego wyrazu. Ale to nie wszystko.

Trzeba, aby sprawy przyszłej wojny nie były dla nikogo obce.

Dla ogromnej większości naszego społeczeństwa nie stykającego się ze sprawami wojskowymi, zagadnienia przyszłej wojny są zastonięte mrokiem tajemnicy. Wyobraźnia, nawet jak najbardziej żywa, nie poparta częściowym choćby zrozumieniem tych zjawisk i przeobrażeń które stanowią będą istotne składniki zmagania zbrojnych, nic nie zdoła.

Kapitałna praca płk. Mossora jest doskonałą okazją do zaznajomienia się z zagadnieniami wojny, tym bardziej, że do jej studiowania nie potrzeba specjalnego przygotowania fachowego.

(B. Dworak — Warsz. Dziennik Narodowy)

Po rozmaitych bólach niemieckich na naszą gospodarkę, Niemce tere znowu dostale jakigos nowego szafu. Opadła jich ogrószka o to, że Polska w swy nowo wedony serii znaczków pocztowych na jednym z nich umiesceła gduński żóraw z 16 w. z dwóma szlachcicama polskima i kupcama gduńskima.

Niemce jakos lubią fałszowac fakta historyczni i temu też w wepodku pekozani jima nagji prówde — wpóda j w jakis bleży nie znóni gatunk presci chorobe. Faktu tego jednak, że Gduńsk w 16 w. bół częscą składową Polski, żódna niemiecko przewrotnosc nie potrafi zmienic. Na te niemiecki mieszani so do naszych spraw, istnieje jedno dobry powiedzeni: nie tkej nosa, gdzie nie dostoniesz grosza.

Sprawa masonerji u nas je po prówde czesto tajemniczô. Po wedani ustawie antymasoński, zdôwac be so



mogło, że masoneria będzie u nas czesto zniszczono. Tak też sę podobno stało. Czetelesme wszetce wióldzi artykułe o zlikwidowani loże to tom i tu. Czetelesme nawet nie jedne nazweska i dowiedzelesme so o tym, że niejedna loża ostała przerobimô na przytułk czy inny lokal dlô jakis organizacji.

W tych komunikatach jednak je cos dziwnygo, bo tak: dnia 14 grudnia 1938 r. PAT podała, że między jinyma ostała téż zlikwidowanô Loża Tomasza Zana. Jak wiadomo, loża ta znajduje sę w Wilnie i miała bec zlikwidowa-

nô po dokonôných rewizjach. Tymczasem... władze w Wilnie o żódných rewizjach ani o zlikwidowani tej loże dotychczôs jiz nic nie wiedzq. Komu na tym nólézy, żebe taki informacje podôwac? Chyba PAT-owi nie?

Jiz jedna czekawô rzecz. Przy pedôwani nazwesk zlikwidowanych lóž, bele samy žedze, ale wszetce pamietajq, że lemu nie tak dównô w cały Polsce bół wióldzi ruch o to, że chtos miól zamiar opublikowac nazwiska wszetkich osób należqcych do masonerii.

Dekret Pana Prezydenta je wedóny, a prznależeni do masonerii za zbrodnię uznóny, więc czekóme na te nazweska, ażebelesme moge je poznac.

W Bydgoszczy chodzi takô gôdka, że, rzekomo żona jednego dygnitarza otrzymała z Ameryki milion złotych — za chterne kupiła w Bydgoszczy wióldzi budink — za to, żebe żedom w Polsce so nie dzata krzywdq?

PEWIEN LIST...

W zwiqzku z ukazaniem się w jednym z ostatnich numerów „KLEKI” recenzji o „Kurierze Bibliofilskim” i „Fantanie”, redaktor nasz i autor wyżej wspomnianych recenzji J. R. Rąbca otrzymał od wydawcy „Kuriera Bibliofilskiego” p. Igora Demiana następujący list, który w całości drukujemy.

Igor Demian
w Krakowie, Florjańska 29.

WPan Jan R. Rąbca
Wejherowo

Dziś powróciłem z urlopu do Krakowa — i przeczytałem Pańską notatkę w „KLECE”. Nie mam żadnych zastrzeżeń w stosunku do Pana. Staram się nawet Pana usprawiedliwić w tym wypadku, o ile uważa Pan, że jest w zupełnym porządku ze sobą.

Chciałbym jednak stwierdzić jedno — nigdy nie ukrywałem swego żydowskiego pochodzenia i dziś ani nigdy w przyszłości tego nie uczynię. Są-

dziłem, iż Pan pisując do „Tempa” i tylekrotnie wyrażając swój entuzjazm dla pisma — zdołał się zorientować w kierunku ideowym tegoż. Że dla mnie i tych wszystkich, którzy ze mną pracowali ważnem było nie pochodzenie jednostki, ale jej charakter i uczciwość — to jasne... W żadnym wypadku ani ja, ani moi przyjaciele ideowi, nie byli a chyba i nie będą sympatykami ludzi, którzy z kulturą obecnie nic wspólnego nie mają.

Ta mała moja dygresja, by stwierdzić, że może Pan uważać swoją współpracę z „Tempem” za niebyłą.

Przykro mi tylko, że Pan i ja — pomyliliśmy się wzajemnie.

I pozatem jeszcze jedno. Chciałbym stwierdzić, że jeden z Pańskich przyjaciół ideowych z obecnej „Fantany” (prof. Ludwik Brożek, Katowice, Biblioteka Śląska), znając mnie doskonale i wiedząc o moim pochodzeniu, nie wahał się bynajmniej napisać artykułiku do „Tempa” i pobrać

zań honorarium. (Przyczynek do ludzkiej moralności.)

Dodaję również, że na notatkę „Fantany” nie reaguję, gdyż byłoby to poniżej mojej godności.

Ludzie, którzy mnie znają i wszyscy ludzie uczciwi — potrafią sobie o całej sprawie sąd wyrobić.

Zaznaczam również, że moje „przestępstwo” — o którym pisze „Fantana” — zostało skazanie przez Sąd grzywną w wysokości... zł 10.

A przestępstwem tym była moja nieświadomość, że losami loterii państwowej nie wolno premjować itd. (Vide „Tempo” nr 4).

List ten piszę do Pana tylko dlatego, ponieważ zdaje mi się, że Pan jest pozatem — człowiekiem uczciwym i kulturalnym.

Zechce Pan przyjąć wyrazy poważania

Demian Igor

w Krakowie 30. 12. 1938 r.

SŁYNNNE PIWO ŻYWIECKIE

to napój o wysokiej wartości odżywczej.

HUMOR

W hotelu pewnego amerykańskiego hotelu wisi napis:

— „Palenie wzbronione“! Przypomnij sobie pamiętny pożar hotelu „Astoria“!

Pewien dowcipniś dopisał:

— „Spluwanie wzbronione! Przypomnij sobie pamiętną powódź Missisipi“!

*

— Czym mogę służyć? Zapytuje zawsze grzeczny kupiec wchodzącego klienta.

— Nie wszedłem tu dla rozwiązania zagadek — odpowiada klient.

*

Na boisku piłki nożnej.

Sprzedawca słodyczy woła niezmordowany:

— Odżywcze cukierki! Pokrzepiająca czekolada!

— Chłopcze! wrywa się jakiś zniecierpliwiony widz. Przestańże wreszcie z tym krzykiem. Czy nie widzisz, że gracze obecnie są zajęci?

*

— Wy polacy macie dziwny zwyczaj. U was kobiety muszą kroczyć po prawej stronie mężczyzny.

— A u was w Paryżu?

— U nas w Paryżu po tej stronie, po której znajdują się okna wystawowe.

Fraszki.

DO MŁODZIEŻY!

Chcesz poznać „furczość“, taką jak należy, Przeczytaj sobie „Bigdę“ kawalerze.

BOY'OWI DO SZTAMBUCHU.

Gdy się dziewczę zapomina, szepce: „Boy'a, boy'a wina“... (Pokrzywy)

Anekdoty

Seneka został zaproszony przez bogatego wyzwoleńca na ucztę. Gospodarz uważał za stosowne bawić gościa zadawaniem najrozmaitszych pytań.

— Jak się to dzieje, że czarny i biały groch, ugotowane razem, dają żółtą masę? — zapytał wreszcie.

— To jest dość dziwne do wytłu-

maczenia, jak wiele zresztą rzeczy — odpowiedział zniecierpliwiony już Seneka. — Naprzykład, czy pan potrafiłby mi powiedzieć, jak się to dzieje, że rzemienie z czarnej i białej skóry pozostawiają na ciele jednokowe czerwone pręgi?

*

Pewnego razu Masaryk w towarzystwie redaktora jednego z wielkich dzienników czeskich, kroczył drogą, na której pełno było błota. Dziennikarz co chwila obchodził napotykaną kałużę, natomiast Masaryk przesaka-kiwał je.

— Brudów nie należy obchodzić — rzekł — trzeba przez nie... przesaka-kiwać.

*

Gdy Balzaka wyśmiewano z powodu jego małego wzrostu, odrzekł:

— Prawie wszyscy wielcy ludzie nie byli wysocy. Głowa musi znajdować się blisko serca, aby obie te władze mogły harmonijnie współpracować.

*

Arytmograf

(4 pkt)

6, 7, 18, 11, 15, 4, 11 — 7 — 19, 2, 5, 4, 11 — 16, 3, 12, 14,
20 — 3, 4, 1, 12, 17, 18 —
8, 1, 4 — 8, 9, 18, 8, 20 — 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8 — 10, 14,
4, 6, 12, 17, 18.

Wyrazy pomocnicze:

1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8 — rodzaj czasopisma

9, 10, 11, 12, 13 — rupieciarnia, śpichlerz

14, 7, 15, 16 — bat, inaczej

17, 18, 19, — zwierzątko

20 — samogłoska nosowa

W miejsce cyfr powstawić odpowiednie litery i odczytać rozwiązanie.

Metamorfoza

(2 pkt)

M	A	S	A

Utworzyć trzy dalsze, nowe słowa przez zmienianie w każdym po jednej literze.

Rozwiązania nadsyłać do dnia 10 bm. z dopiskiem „Dział Rozrywek Umysłowych“ do Redakcji „KLEKI“. Po zdobyciu 30-tu punktów otrzyma każdy, nadsyłający rozwiązanie piękną nagrodę książkową.

Bilety wizytowe

(po 1 pkt)

Z. Ż. Gerla

Mr. Zynara

M. Keleroterno

Konikówka

(2 pkt)

szu	by	dą
przyj	dy	by
zgu	Ka	nie
Nig	*	do

Ruchem konika szachowego odczytać znany dwuwiersz.

PRENUMERATA: W kraju — 1,-zł. miesięcznie, 3,-zł. kwartalnie, 5,-zł. półrocznie, 9,-zł. rocznie. Za granicą — 5,-dol. am. rocznie. Konto rozrachunkowe nr 2 Wejherowo.

OGŁOSZENIA: Za miejsce wysokości 1 mm. w jednym łamie 0,50 zł — Za miejsce specjalnie zastrzeżone 50% drożej.

WYDAWCA I REDAKTOR NACZELNY:
Schroeder Franciszek

REDAKTORZY:
Ogórek Edward, Rąbca Jan Ryszard

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Wejherowo, ul. Sobieskiego 65.

Czcionkami Drukarni A. Patera, Wejherowo.

RZEŹ KASZĘBÓW W GDUŃSKU

(Ciąg dalszy)

Bele tu zabowczy dziwny, uczesny,
zrobiony przez mądrech Domnika braci;
w roboce, kolorze mestérny, pészny,
o kternych chodzëte gòdczy dwojaczy.
Dalek za koscoła miele swe bude
maniacze, kuglarze, trefnise, błaznie,
co robile różne figle i cude;
kłel nich to muzyka grała wczãż raźnie:
grzmiãte tu bębne, brzeczãte cymbałe,
trãbiãte trãbe i gwizdaãte fléte,
rznëte od ucha skrzëpczy, wieldzi, maãe,
głose swe roznoszeãte srebrny klarneãte.
Wëdrownny guslorz tã spiëwoł o królach
i możnych ksązëtach naszygłë kraju,
spiewoł o Ojczëzny dolach, niedolach
przedstowioł w przystoscy zëcy, jak w rajù.
Cze wieczór nadszed, to na wieżach miasta
parobce łuczewe pòlele w blachach
a choçiż za miasta ju cemnosc nastã,
to w miesce beło widno, bo na dachach
i w kromach poleãte so lëpe jasno;
wiele tãż chodzëte lëdzy, co w różnëch
gòdale młowach, torgowale głosno.

* * *

Cze nasi przëszle do stòrygłë Wende
wëdrownny bard takã to spiewoł pieśń:
Od gór wiëldziech, Karpat stòrech
Biëzy, biëzy wiërna rzëka;
Nad niã w biòtech, twardech murach
Nenka swegłë knopa czeka.

Czeka długo, bło nã rzekã
On wejachoł w swiat daleczy,
Tã gdzie młorsko fala czeko
Na zbratani z lãda wieczy.

Tu w ti zemi, gdzie tkwi bursztyn
Serce taczy jak tã bije;
Nie żdze matko bło i twój syn
Między swojemì tu żyje!

Bo ta Wisła nasza stara
Wszëstczy zemie w jednã łãczy,
A lud w naród — żodna kara
Jego nigdy nie rozłãczy.

A dredzi, co w skrzëpczy przepięknie grywoł,
bystremi oczami dokoła rzucòł
wszëstczym tã zebrany tak dziwnie spiëwoł:

Przindze czas mój bracie młody
Cze te pudzysz w bój,
Ani żal mi twi urody
Choc cã czeko znój.

Czeco ciebie znój przedludzi
Z ce popłynie krew.
Cze z ce krwi polejãcy strudzi
Wëdosz wolny sëw.

Cze nadeńdã cęszczy czase
To o dobrëch snij!
Twoje młorzel! twoje lase! —
W nich w wolnoscy znij!

A cze ciebie cëdzy młowã
Bãdze zakuc choł,
Żebe tã mu bracie znowu
Piscã w sãpie wgrzoł!

Abe tu z Polskã potãczeni,
Jak choł król i Bóg,
Terez jednoscã wzmłocnieni
Obronim nasz próg.

Z réna szlë wszëstce w koscołë skłãdnie
na święte Msze i waźne kòzania,
tak, że z nich żodne jima nie wepadnie —
po pòlniu le zaczynãjã kupiania.
Nasi tãż przedpòlnia w koscele płobozno
modlele so, przykłãdnie spowiodale,
po pòlniu raza i jak beło młozno
kłorzestnie toware swe sprzedawale:
Bursztyn, miód, wosk, kun i tworzów skórczy
za sukno, pocore wnet szło na miónczy;
za grosze z zëta, owsa, łonszczy jérczy
tatã kupił beczczy, pług, misczy i gronczy;
jesz mu dosc łosta grosza — schowoł ge w mieszk
a te on széd szukac mu znònych drechów,
udał so w stronë, gdzie stòry mieszkoł Bieszk.
Terez Bogusz z Wandã i Mirkã obzerac
szlë miasto, krome, rénk, gasã, różnosce.
Łostale na placu, gdzie to zarzenac
od ucha zaczęta muzyka — gosce
i grajãcy tak prawie spiëwale:

Tu na naszym gdunszczym rénk
W tuńcu nie znasz te spoczynku,
Bo kaszëbszczy piesnie grajã
A dzëwczëta ce szukajã.

Tu so kaźdy tãż usmieje,
Krësztof pajã grosze seje,
Bowce dziwny gëbe majã,
Cemnëch lëdzy nabierajã.

Różny trunczy krome majã,
Dobry picy tu podajã,
Żebes tańczył jak szalony
I był wcale nie zmęczony.
Skrzëpczy, base rznã od ucha,
Pészny dzëwczë ce popychã,
Żebes jã tu wzon do tunca
I z niã skokoł jãż do kuńca.

Story chłopi tãż be chcele,
Żebe młody biãłczy miele
W tuńcu skakać i mądrowac
Swoje ocze w pésznych chowac.

D. c. n.